

Truman Capote – Gwiazdka

Spis treści

Tamta gwiazdka 2

(przełożył Krzysztof Zarzecki)

Wspomnienie gwiazdkowe 12

(przełożył Bronisław Zieliński)

Tamta gwiazdka

Na początek parę słów wprowadzenia autobiograficznego. Moja mamusia, kobieta wyjątkowej inteligencji, uchodziła za najpiękniejszą dziewczynę w Alabamie. Wszyscy tak uważali i była to święta prawda. Skończyła zaledwie szesnaście lat, gdy wyszła za dwudziestoośmioletniego biznesmena z Nowego Orleanu. Małżeństwo trwało rok. Mamusia była za młoda na matkę i na żonę; w dodatku miała aspiracje - chciała ukończyć college i zrobić karierę. Więc rzuciła męża, mnie zaś zostawiła na przechowanie swojej licznej alabamskiej rodzinie.

Przez następne lata rzadko widywałem którekolwiek z rodziców. Tatuś miał zajęcie w Nowym Orleanie, a mamusia po ukończeniu college'u robiła karierę w Nowym Jorku. Co do mnie, ta sytuacja bardzo mi odpowiadała. Byłem szczęśliwy w domu, w którym się wychowywałem. Otaczało mnie wielu życzliwych krewnych - ciotek, wujów, kuzynów. Szczególnie lubiłem jedną z ciotek, starszą, siwowłosą, lekko ułomną kobietę imieniem Sook. Panna Sook Faulk. I choć miałem wiele przyjaznych dusz, ona była moją najlepszą przyjaciółką.

Sook opowiadała mi o Świętym Mikołaju z powłóczytą brodą, w czerwonym płaszczu, w podzwaniających samach pełnych prezentów, a ja wierzyłem w kaździutkie jej słowo, tak samo jak wierzyłem, że wszystko się dzieje z woli Boga, z woli Pana, jak Go zawsze nazywała Sook. Kiedy sobie stłukłem wielki palec u nogi, kiedy spadłem z konia, kiedy złapałem przyzwoitą rybę w rzeczce, to wszystko, czy dobre, czy złe, działo się z woli Pana. I to samo orzekła Sook, otrzymawszy przerażającą wiadomość z Nowego Orleanu: tatuś chciał, żebym przyjechał spędzić z nim święta.

Płakałem. Nie chciałem jechać. Nigdy nie wyjeżdżałem z tego ustronnego miasteczka w Alabamie, otoczonego lasami, farmami i rzeczkami. Nigdy nie zasnąłem wieczorem, dopóki Sook nie pogłaskała mnie po włosach i nie pocałowała na dobranoc. Co gorsza, bałem się obcych, a tatuś był obcy. Widziałem go parę razy, ale pozostało mi tylko mgliste wspomnienie; nie miałem pojęcia, jak wygląda. Ale Sook orzekła: "To wola Pana. I kto wie, Buddy, może zobaczysz śnieg".

Śnieg! Zanim się nauczyłem czytać, Sook czytywała mi wiele historii i prawie we wszystkich padał bezustannie śnieg. Olśniewającymi, puszystymi, baśniowymi płatkami. Śnił mi się często, był czymś tajemniczym i czarodziejskim, chciałem go

zobaczyć, poczuć, dotknąć. Oczywiście nigdy go nie widziałem, zresztą Sook też nie; bo i jakże mieliśmy go zobaczyć, mieszkając w upalnej Alabamie? I nie wiem, skąd przyszło jej do głowy, że zobaczę śnieg w Nowym Orleanie, który jest jeszcze gorętszy. Mniejsza o to. Chciała mi po prostu dodać odwagi przed podróżą.

Sprawiono mi nowe ubranie. Do kłapy przypięto kartkę z nazwiskiem i adresem. W razie gdybym się zgubił. Bo miałem odbyć podróż sam. Autobusem. Wszyscy uważali, że z taką etykietką w klapie będę bezpieczny. Wszyscy, tylko nie ja. Ja umierałem ze strachu. I ze złości. Ze złości na tatusia, tego obcego człowieka, który mnie zmusza do wyjazdu z domu i spędzenia Bożego Narodzenia z dala od Sook.

Była to czterystumilowa wyprawa, coś koło tego. W Mobile musiałem się przesiąść w drugi autobus i jechałem, jechałem bez końca przez bagniste tereny i wzdłuż morza, aż dotarliśmy do ogłuszającego miasta, pełnego dzwoniących tramwajów i groźnych ludzi o cudzoziemskim wyglądzie.

To był Nowy Orlean.

I nagle, ledwie wysiadłem z autobusu, porwał mnie w ramiona jakiś mężczyzna i jął ścisnąć tak, że nie mogłem złapać tchu, wysoki, przystojny mężczyzna, który się śmiał i płakał, śmiał i płakał.

- Nie poznajesz mnie? - powtarzał. - Nie poznajesz tatusia?

Odjęło mi mowę. Dopiero kiedy jechaliśmy taksówką, wykrztusiłem pierwsze słowa:

- Gdzie jest?

- Nasz dom? Niedaleko...

- Nie dom. Śnieg.

- Jaki śnieg?

- Myślałem, że tu będzie padał śnieg.

Spojrzał na mnie dziwnie, ale się roześmiał.

- W Nowym Orleanie nie pada śnieg. Ja przynajmniej o tym nie słyszałem. Ale posłuchaj. Słyszysz, jak grzmi? Będzie wielka burza.

Nie wiem, co mnie bardziej przerażało: grzmoty, następujące po nich syczące zygzaki błyskawic - czy tatuś. Wieczorem, kiedy się kładłem do łóżka, ciągle jeszcze padało. Odmawiając pacierz, prosiłem, żeby się znaleźć z powrotem w domu, przy Sook. Nie wyobrażałem sobie, jak będę mógł zasnąć niepocałowany przez nią na dobranoc. I rzeczywiście nie mogłem zasnąć, zacząłem się więc zastanawiać, co Święty Mikołaj przyniesie mi na Gwiazdkę. Marzyłem o scyzoryku z perłową rączką. O

wielkim pudle wycinanych łamigłówek. O kapeluszu kowbojskim i lassie do kompletu. O wiatrówce, żeby strzelać do wróbli. (Kiedy wiele lat później dostałem wiatrówkę, zastrzeliłem drozda i przepiórkę, i nigdy nie zapomnę bólu, jakim mnie to przepełniło, rozpaczy; nigdy więcej niczego nie zabiłem, a każdą złowioną rybę wpuszczałem z powrotem do wody). Chciałem również dostać kredki. A nade wszystko pragnąłem mieć radio, ale rozumiałem, że to niemożliwe; nie wiem, czy znałem dziesięć osób, które miały radia. Pamiętajcie, że były to lata wielkiego kryzysu i niewiele domów na głębokim Południu mogło się pochwalić radiem czy lodówką.

Tatuś miał i radio, i lodówkę. Miał w ogóle wszystko. Dwuosobowe sportowe auto z otwieranym siedzeniem dla pasażerów z tyłu, nie mówiąc już o ślicznym różowym starym domu w Dzielnicy Francuskiej, z balkonami o koronkowych żelaznych balustradach i ukrytym patiem, pełnym kwiatów, chłodzonych przez fontannę w kształcie syreny. Miał również z pół tuzina, więcej, chyba pełny tuzin przyjaciółek. Podobnie jak mamusia, nie wszedł dotąd w powtórny związek małżeński, ale miał oddane wielbiciele, tak jak ona wielbiciele, i oboje nieuchronnie poszli w końcu ponownie do ołtarza. Ściśle biorąc, tatuś pokonał tę marszrutę sześćokrotnie.

Rozumiecie więc, że musiał mieć swój czar. I faktycznie czarował wszystkich. Wszystkich z wyjątkiem mnie. Mnie wprawiał tylko w bezustanne zakłopotanie, ciągnąc wszędzie ze sobą i przedstawiając najróżniejszym znajomym, od bankiera poczynając, a kończąc na fryzjerze, który go codziennie golił. No, i oczywiście wszystkim swoim przyjaciółkom. A najgorsze było to, że mnie ciągle ścisnął i całował, i przechwalał się mną. Palilem się ze wstydu. Naprawdę nie miał się czym chwalić. Byłem zwykłym wiejskim chłopcem. Wierzyłem w Jezusa i sumiennie odmawiałem pacierz. Nie wątpiłem, że istnieje Święty Mikołaj. I w domu, w Alabamie, oprócz wypraw do kościoła, chodziłem zawsze boso. Zimą i latem.

Istną torturę stanowiło włóczenie mnie po ulicach Nowego Orleanu w ciasno zasnurowanych bucikach, palących piekielnym ogniem, ciężących ołowiem. Sam nie wiem, co było gorsze - te buciki czy jedzenie. W domu przywykłem do pieczonych kurcząt, kapusty, fasolki szparagowej, chleba kukurydzianego i podobnych pożywnych rzeczy. A tu te nowoorleańskie restauracje! Nigdy nie zapomnę pierwszej ostrygi, to był koszmar, kiedy mi się prześlizgnęła przez przelyk. A ta pikantna kuchnia kreolska - sama myśl o niej przyprawia mnie o zgałę. Wzdychałem do

sucharów dopiero co wyjętych z pieca, mleka prosto od krowy, melasy prosto z wiadra.

Biedny tatuś nie miał pojęcia, jaki jestem nieszczęśliwy, po części dlatego, że nic po sobie nie pokazywałem, a tym bardziej nie wspominałem o niczym słowem; a po części z zadowolenia, że wbrew protestom mamusi uzyskał zezwolenie sądu na opiekę nade mną przez okres świąt.

- Powiedz prawdę. Nie chciałbyś zamieszkać ze mną w Nowym Orleanie? - pytał.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie możesz?

- Tęsknię za ciocią Sook. I za Queenie, to taka mała terierka. Śmieszne stworzenie, ale kochamy je oboje.

- A mnie nie kochasz? - spytał.

- Kocham - odparłem.

Ale prawdą było, że kochałem tylko Sook, Oueenie, paru kuzynów i fotografię mojej pięknej mamusi na stoliku nocnym koło łóżka. Tyle wiedziałem o miłości.

Wkrótce się dowiedziałem więcej. W przeddzień Wigilii, idąc z tatusiem Canal Street, stanąłem nagle jak wryty, zafascynowany cudownym przedmiotem, który zobaczyłem na wystawie wielkiego magazynu z zabawkami. Był to model aeroplanu, takiej wielkości, że mógłbym w nim usiąść i pedałowac jak na rowerze. Aeroplan był cały zielony, tylko śmigło miał czerwone. Wydawało mi się, że gdybym pedałowal wystarczająco szybko, wzniósłby się i poleciał! To by był numer! Już widziałem chłopaków stojących na ziemi i gapiących się, jak szybuję w przestworzach. Przestaliby wydziwiał, że jestem zielony! Wybuchnąłem śmiechem. Zaśmiewałem się i zaśmiewałem. Po minie tatusia widziałem, że po raz pierwszy poczuł się pewnie w moim towarzystwie, chociaż nie miał pojęcia, z czego się tak śmieję.

Wieczorem modliłem się, żeby Święty Mikołaj przyniósł mi ten aeroplan.

Tatuś kupił już choinkę, potem długo wybieraliśmy razem zabawki na nią w pięcio- i dziesięciocentowym domu towarowym. Ubierając ją, zrobiłem głupstwo. Postawiłem pod choinką fotografię mamusi. Ujrawszy ją, tatuś zbladł jak ściana i zaczął się cały trząść. Nie wiedziałem, co zrobić. Ale on wiedział. Podszedł do szafki i wyjął z niej wysoką szklankę i flaszkę. Znałem te flaszkę, wszyscy moi alabamscy wujowie mieli ich mnóstwo. Samogon lat prohibicji. Nalał sobie do pełna i wypił prawie duszkiem. Fotografia potem jakby przestała istnieć.

Teraz oczekiwałem Wigilii i zawsze emocjonującej wizyty Świętego Mikołaja. Oczywiście nigdy nie widziałem, żeby ten objuczony, pobrzękujący, brzuchaty olbrzym wsuwał się naprawdę przez kominek i wesoło obdzielał wszystkich prezentami pod choinką. Mój starszy kuzyn Billy Bob, który był wrednym kurduplem, ale argumenty miał jak cios żelazną pięścią, twierdził, że to wszystko wierutne brednie, nikt taki nie istnieje.

- Guzik tam! - mówił. - Kto jest gotów uwierzyć, że istnieje jakiś Święty Mikołaj, uwierzy równie łatwo, że muł to koń.

Pokłóciliśmy się o to na skwerku przed sądem.

- Jest Święty Mikołaj, bo to, co robi, dzieje się z woli Pana, a co się dzieje z woli Pana, jest prawdą.

Billy Bob splunął i odwrócił się na pięcie.

- Zdaje się, że będziemy mieli jeszcze jednego kaznodzieję.

Zawsze sobie obiecywałem, że nie zasnę w Wigilię. Chciałem usłyszeć tupot reniferów na dachu i czekać przed kominkiem, żeby uścisnąć rękę Świętemu Mikołajowi. I wydawało mi się, że nie będzie nic łatwiejszego, jak nie zasnąć właśnie w tę Wigilię.

Dom tatusia miał trzy kondygnacje i siedem pokoiów, niektóre z nich olbrzymie, szczególnie trzy wychodzące na patio: salon, jadalnię i pokój muzyczny dla tych, którzy lubili grać, tańczyć i rznąć w karty. Dwa górne piętra były zaopatrzone w balkony o żelaznych balustradach, przez których ciemnozielone ażurowe zawijasy przeplatała się bugenwilla i bujne pnącza szkarłatnych pajęczych orchidei, przypominających jaszczurki wysuwające czerwone języczki. Był to ten rodzaj domu, którego urodę najlepiej podkreślają froterowane parkiety oraz tu i ówdzie trochę wikliny, trochę aksamitu. Można go było wziąć za dom człowieka bogatego, ale stanowił jedynie siedzibę człowieka silącego się na wytworność. Dla biednego (choć szczęśliwego), bosego chłopca z Alabamy pozostawało tajemnicą, w jaki sposób tatusiowi udaje się zaspokajać swoje wygórowane ambicje.

Nie było to jednak tajemnicą dla mamusi, która po ukończeniu college'u z całą energią roztaczała w Nowym Jorku swoje magnoliowe wdzięki, żeby zdobyć naprawdę odpowiedniego narzeczonego, który mógłby jej zapewnić mieszkanie na Sutton Place i sobolowe futra. Ale choć dochody tatusia nie były dla niej tajemnicą, poruszyła ten temat dopiero wiele lat później, gdy już od dawna na jej otulonej sobolami szyi błyszczały sznury pereł. Przyjechała mnie odwiedzić w snobistycznej szkole z

internatem w Nowej Anglii (gdzie chesne za mnie opłacał jej bogaty i hojny mąż), a ja powiedziałem jej tam wtedy coś, co wprawiło ją w istną furie.

- Więc nie wiesz, z czego on tak dobrze żyje? - jęła wykrzykiwać. - Stać go na wynajmowanie jachtów i urządzenie rejsów po greckich wyspach? Ze swoich żon! Przypomnij sobie ich cały sznurek. Wszystkie wdowy. I wszystkie bogate. Bardzo bogate. I wszystkie znacznie od niego starsze. Za stare, żeby je wziął za żony jakikolwiek młody mężczyzna przy zdrowych zmysłach. Dlatego pozostawałeś dotąd jego jedynym dzieckiem. I dlatego ja nie będę miała nigdy drugiego dziecka. Byłam za młoda, żeby rodzić, ale on był potworem, zniszczył mnie, zmarnował...

Żigolo, mój żigolo, ludzkie uśmieški tak bolą... Księżyc, księżyc nad Miami... Bądź dla mnie czuły, bo to mój pierwszy, pierwszy raz... Daj pan pięćdziesiątka, jeśli masz na zbyciu... Żigolo, mój ty żigolo, ludzkie uśmieški tak bolą...

Przez cały ten czas, gdy mówiła (a ja starałem się nie słuchać, bo mówiąc mi, że urodzenie mnie ją zniszczyło, niszczyła mnie), w głowie dźwięczały mi te melodie, te i inne podobne. Pomagały mi jej nie słyszeć i przypominały dziwne, niesamowite przyjęcie, jakie tatuś wydał owego wieczoru wigilijnego.

Patio i trzy przylegające do niego pokoje były całe oświetlone świecami. Większość gości zgromadziła się w salonie, gdzie w świetle ognia tłącego się na kominku błyszcząca choinka, ale część tańczyła w pokoju muzycznym i na patiu w takt melodii ręcznie nakręcanej wiktrolki. Tatuś przedstawił mnie gościom, którzy się nade mną jakiś czas rozplýwali, po czym posłał mnie na górę do łóżka. Jednakże z tarasu, na który wychodziły zasłaniane żaluzjami drzwi do mojego pokoju, mogłem obserwować całą zabawę, wszystkie tańczące pary. Widziałem, jak tatuś tańczy walca dookoła basenu okalającego fontannę z syreną, tańczy z dystyngowaną panią. Musiałem przyznać, że jest naprawdę dystyngowana, ubrana w powiewną srebrną suknię, mieniającą się w blasku świec. Tylko że pani była stara, co najmniej dziesięć lat starsza od tatusia, który miał wówczas trzydzieści pięć lat.

Nagle zdałem sobie sprawę, że tatuś jest zdecydowanie najmłodszym uczestnikiem zabawy. Żadna z pań, choćby najbardziej czarująca, nie była młodsza od wiotkiej tancerki w zwiewnej srebrnej sukni. To samo odnosiło się do mężczyzn, z których wielu paliło słodko pachnące hawańskie cygara. Połowa z nich mogłaby być ojcami tatusia.

I wówczas zobaczyłem coś takiego, że musiałem przetrzeć oczy. Tatuś ze swoją zręczną partnerką, tańcząc, wsunął się w niszę osłoniętą szkarłatnymi pajęczymi

orchideami - i tam się zaczęli ściskać i całować. Byłem tak zdumiony, tak na niego wściekły, że uciekłem do swego pokoju, wskoczyłem do łóżka i nakryłem się z głową. Dlaczego mój przystojny młody tatuś wdaje się w romans z taką starą babą? I czemu ci wszyscy ludzie tam na dole nie pójdą sobie do domu, żeby wreszcie mógł przyjść Święty Mikołaj? Leżałem z otwartymi oczyma przez długie godziny, nasłuchując, kiedy się wreszcie rozejdą. W końcu usłyszałem, jak tatuś mówi po raz ostatni dobranoc, po czym wchodzi na górę i uchyla drzwi, żeby na mnie spojrzeć. Udałem, że śpię.

Ale tej nocy nastąpiły dalsze rzeczy, które nie pozwoliły mi zasnąć do białego rana. Najpierw usłyszałem kroki na schodach, potem ciężki oddech tatusia biegnącego na górę i z powrotem. Musiałem się przekonać, co to wszystko znaczy. Ukryłem się na balkonie za bugenwillą, skąd miałem doskonały widok na cały salon z choinką i bladymi ogieńkami dopalającymi się w kominku. I zobaczyłem tatusia. Chodził na kolanach dookoła choinki, układając piramidę paczek. Popakowane w papiery, fioletowe, czerwone, złote, białe, niebieskie, szeleściły, kiedy je przesuwiał. Zakręciło mi się w głowie, bo to, co zobaczyłem, zmuszało mnie do przemyślenia wszystkiego na nowo. Jeśli to są prezenty przeznaczone dla mnie, to oczywiście nie pochodzą one z woli Pana i nie dostarczył ich Święty Mikołaj. Nie, są to prezenty kupione i zapakowane przez tatusia. A to znaczy, że mój wredny kuzynek Billy Bob i inne, jak on wredne chłopaki, nie kłamały, nabijając się ze mnie i mówiąc, że Święty Mikołaj nie istnieje. Ale najgorsza była myśl: czy znała prawdę i okłamywała mnie Sook? Nie. Sook nigdy by mnie nie okłamała. Ona wierzy, tak jest, chociaż ma sześćdziesiąt lat z okładem, jest pod niektórymi względami takim samym dzieckiem jak ja.

Przyglądałem się, dopóki tatuś nie skończył układania i nie zdmuchnął ostatnich niedopalonych świec. Odczekałem, aż się położy do łóżka i zaśnie twardym snem, po czym ześlizgnąłem się po schodach do salonu, w którym jeszcze wisiał zapach gardenii i hawańskich cygar. Siedziałem tu i myślałem: "Teraz ja będę musiał powiedzieć Sook prawdę". I w piersi zawęzła mi się gniew, dziwna złość. Nie była ona skierowana przeciwko tatusiowi, ale na nim miała się skrupić.

Kiedy zaczęło świtać, obejrzałem kartki przyczepione do prezentów. Na wszystkich widniało moje imię. Tylko na jednej znalazłem napis: "Dla Ewangeliny". Ewangelina była starszą Murzynką, która przez cały dzień popijała coca-colę i ważyła chyba ze sto pięćdziesiąt kilo; prowadziła tatusiowi dom i po trosze mu matkowała. Postanowiłem rozpakować prezenty. Czemuż by nie? W końcu nie śpię, jest już rano,

dzień Bożego Narodzenia. Nie będę sobie zawracał głowy opisywaniem, co znalazłem w paczkach: koszule, swetry i inne nieciekawe rzeczy. Jedynym, co mi przypadło do gustu, był całkiem klawy pistolet na kapiszony. Jakoś wpadło mi do głowy, że będzie fajna zabawa, jak obudzę tatusia strzałami. Co też zrobiłem. Trach, trach, trach!

Wypadł ze swego pokoju z błędnym wzrokiem.

Trach, trach, trach!

- Buddy, co ty, u diabła, wyprawiasz?

Trach, trach, trach!

- Przestań!

Roześmiałem się.

- Popatrz, tatusiu. Popatrz tylko, jakie wspaniałe prezenty przyniósł mi Święty Mikołaj.

Uspokojony, wszedł teraz do salonu i uściskał mnie.

- Podoba ci się, co ci przyniósł Święty Mikołaj?

Uśmiechnąłem się do niego. On się uśmiechnął do mnie. Przez moment zawisła między nami czułość, ale zaraz ją roztrzaskałem słowami:

- Podoba. Ale co ty mi dasz, tatusiu?

Uśmiech uleciał z jego twarzy. Oczy zwięzły mu się podejrzliwie - widać przebiegła przez jego głowę myśl, że chcę wyciąć jakiś kawał. Ale zaraz się zarumienił, jakby zawstydzony, że pomyślał to, co pomyślał. Poglądził mnie po włosach, odkaszlnął i powiedział:

- No, postanowiłem z tym poczekać, żebyś sobie wybrał, co sam zechcesz. Masz coś wymarzonego?

Przypomniałem mu wówczas aeroplan, któryśmy widzieli w sklepie z zabawkami przy Canal Street. Twarz mu się wydłużyła. I owszem, pamiętał aeroplan i pamiętał również, ile kosztuje. Niemniej jednak siedziałem następnego dnia w aeroplanie, wyobrażając sobie, że szybuję w przestworzach, podczas gdy tatuś wypisywał uszczęśliwionemu sprzedawcy czek. Poprzedziła to mała kontrowersja na temat przetransportowania aeroplanu do Alabamy, ale ja byłem nieugięty - aeroplan musi jechać tym samym autobusem, którym ja miałem wracać o drugiej do domu. Problem rozstrzygnął sprzedawca, telefonując na stację autobusową, gdzie mu oświadczone, że uporają się z tym bez trudu.

Nie oznaczało to jednak, że już się wyzwoliłem od Nowego Orleanu. Nowy problem stworzyła wielka srebrna flaszka samogonu. Może było to z powodu mojego

odjazdu, dość że tatuś zaglądał do niej przez cały dzień i w drodze na autobus napędził mi nielicznego strachu, chwytając mnie za rękę i chrypiąc:

- Nie pozwolę ci odjechać. Nie mogę cię puścić z powrotem do tej zwariowanej rodziny w tym zwariowanym starym domu. Popatrz tylko, co oni z ciebie robią. Chłopak sześćoletni, prawie siedmioletni, i wierzy w Świętego Mikołaja! Wszystko to ich wina, tych zgorzkniałych starych panien z ich Bibliami i robótkami na drutach, tych wiecznie pijanych wujów. Słuchaj mnie, Buddy. Boga nie ma! Świętego Mikołaja też nie! - Ścisnął mi dłoń w przegubie tak, że zabolalo. - Och, Boże, czasami sobie myślę, że oboje, mamusia i ja, powinniśmy się zabić z rozpacz, żeśmy dopuścili do tego, co się stało.

- (On się nie zabił, natomiast zabiła się mamusia: odpłynęła sekonalowym snem trzydzieści lat temu).

- Pocałuj mnie. Proszę cię. Proszę. Pocałuj mnie. Powiedz tatusiowi, że go kochasz.

Ale ja nie mogłem wykrztusić słowa. Byłem sparalizowany strachem, że się spóźnimy na autobus. I drżałem o aeroplan przytroczony na dachu taksówki.

- Powiedz: "Kocham cię". Powiedz to. Błagam cię. Buddy. Powiedz to.

Szczyściem dla mnie taksówkarz był człowiekiem dobrego serca. Bo gdyby nie pomoc jego i kilku energicznych tragarzy oraz przyjaznego policjanta, nie wiem, co by się stało, kiedy dojechalibyśmy na stację. Tatuś był taki roztrzęsiony, że nie mógł zrobić kroku, ale policjant zaczął do niego przemawiać, uspokoił go trochę i pomógł mu się utrzymać na nogach, a taksówkarz obiecał odstawić go bezpiecznie do domu. Tatuś nie pozwolił się jednak odprowadzić, dopóki nie zobaczył, że tragarze usadowili mnie bezpiecznie w autobusie.

Znalazszy się w środku, skuliłem się na siedzeniu i zamknąłem oczy. Chwycił mnie dziwny ból. Dławiący ból w całym ciele. Myślałem, że kiedy zdejmę sztywne, miejskie buciki, te monstra miażdżące stopy, męka się skończy. Zdjąłem je, lecz tajemniczy ból nie ustąpił. W pewnym sensie nie ustąpił do dziś. Nigdy nie ustąpi.

Dwanaście godzin później byłem w domu. Leżałem w swoim łóżku. W pokoju panowała ciemność. Obok mnie Sook kołysała się w fotelu na biegunach, ruchem równie kojącym, jak szum fal morskich. Próbowałem jej opowiedzieć wszystko, co się wydarzyło, i zamilkłem dopiero, kiedy ochryplem niczym wyjący pies. Sook przegarnęła mi palcami włosy i powiedziała:

- Oczywiście, że jest Święty Mikołaj. Tyle że nikt w pojedynkę nie byłby w stanie dokonać wszystkiego, czego on musi dokonać. Dlatego Pan rozdzielił to zadanie między nas wszystkich. I wszyscy jesteśmy Świętymi Mikołajami. Ja. Ty. Nawet twój kuzyn Billy Bob. A teraz zaśnij. Licz gwiazdy. Pomyśl o najspokojniejszej rzeczy, jaka istnieje na świecie. O czymś takim jak śnieg. Szkoda, że go nie zobaczyłeś. Ale on prószy teraz między gwiazdami...

Migotały gwiazdy, śnieg wirował mi w głowie. Ostatnim, co zapamiętałem, był spokojny głos Pana, mówiący o czymś, co muszę zrobić. Zrobiłem to następnego dnia. Poszedłem z Sook na pocztę i kupiłem za centa pocztówkę. Istnieje ona do dziś. Znalaziono ją w sejfie bankowym tatusia po jego śmierci rok temu. Oto, co mu napisałem:

Cześć tato tzymaj sie ja sie tesz tzymam i ucze sie pedlować mój eroplan tak szybko że niedługo bede latać po niebie więc miej oczy otfarte i ofszem koham cie Buddy.

Wspomnienie gwiazdkowe

Wyobraźcie sobie ranek pod koniec listopada. Nadejście zimowego poranka przeszło dwadzieścia lat temu. Przywołajcie na myśl kuchnię rozłożystego, starego domu w małym miasteczku. Głównym jej elementem jest wielki czarny piec, ale znajduje się tam też duży, okrągły stół i kominek z ustawionymi przed nim dwoma bujanymi fotelami. Właśnie dziś kominek rozpoczął swoje zimowe huczenie.

Kobieta o krótko przystrzyżonych, siwych włosach stoi przy oknie kuchni. Jest w tenisowych pantoflach i bezkształtnym szarym swetrze, włożonym na letnią perkalową sukienkę. Jest drobna i żwawa jak mała kwoczek, ale na skutek długotrwałej choroby w młodości ramiona jej są żałośnie przygarbione. Twarz ma niezwykłą - niepozabawioną podobieństwa do Lincolna, pobrużdżoną i ogorzałą od słońca i wiatru, ale zarazem delikatną, o ładnej budowie kostnej, oczy zaś są koloru sherry i nieśmiałe.

- Ojej! - woła, a jej oddech zaparowuje szybę. - Pogoda na placki owocowe!

Osobą, do której mówi, jestem ja. Mam siedem lat, ona sześćdziesiąt kilka. Jesteśmy kuzynami, bardzo dalekimi, i mieszkamy razem - no, odkąd mogę sięgnąć pamięcią. W domu zamieszkują też inni ludzie, krewni, i chociaż mają nad nami władzę i często doprowadzają nas do płaczu, na ogół nie zwracamy na nich zbytnej uwagi. Oboje jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Ona nazywa mnie Buddy, przez pamięć na chłopca, który także był niegdyś jej najlepszym przyjacielem. Tamten Buddy zmarł w latach tysiąc osiemset osiemdziesiątych, gdy była jeszcze dzieckiem. Nadal jest dzieckiem.

- Wiedziałaś, jeszcze nim wstałam z łóżka - mówi, odwracając się od okna z żarliwym podnieceniem w oczach. - Dzwon ratuszowy dźwięczał tak zimno i czysto. I ptaki nie śpiewały; odleciały do cieplejszych krajów, tak, na pewno. Och, Buddy, przestań opychać się herbatnikami i idź po nasz wózek. Pomóż mi znaleźć mój kapelusz. Musimy upiec trzydzieści placków.

Zawsze jest to samo; przychodzi poranek w listopadzie i moja przyjaciółka, jak gdyby oficjalnie inaugurując okres gwiazdkowy, który pobudza wyobraźnię i podsyca płomień jej serca, oznajmia: "Pogoda na placki owocowe! Idź po nasz wózek. Pomóż mi znaleźć mój kapelusz".

Kapelusz się znajduje - słomkowe koło od wozu, umajone aksamitnymi różami, wypłowiałymi od słońca; należał niegdyś do pewnej bardziej wytwornej krewnej. Razem wyprowadzamy nasz pojazd, rozchwierutany wózek dziecinny, do ogrodu i do lasku drzew pekanowych. Wózek jest mój, to znaczy został kupiony dla mnie, kiedy się urodziłem. Zrobiono go z wikliny, gdzieniegdzie porozplatanej, a jego kółka są chwiejne jak nogi pijaka. Ale jest wierny; wiosną zabieramy go do lasu i napełniamy kwiatami, ziołami, dzikimi paprociami do naszych doniczek na ganku, a w lecie ładujemy nań akcesoria piknikowe i wędki z trzciny cukrowej i toczymy go na brzeg potoku; ma też i zimowe zastosowanie jako pojazd do przywożenia drewna z podwórka do kuchni, jako ciepłe legowisko dla Queenie, naszej dzielnej, małej, rudobiałej terierki, która przeżyła nosaciznę i dwa pokąsania przez grzechotniki. Teraz Queenie drepcze obok niego.

Trzy godziny później jesteśmy z powrotem w kuchni, przypchawszy wózek kopiasto załadowany strąconymi przez wiatr orzechami pekanowymi. Bolą nas plecy od ich zbierania; jakże trudno było te orzechy znaleźć (główny plon otrząsnęli z drzew i sprzedali właściciele sadu, którymi nie jesteśmy) pośród skrywających je liści i oszronionej, zwodniczej trawy! Trrrach! Rozlegają się chrupnięcia, strzępki miniaturowego grzmotu, kiedy skorupki pękają, a złoty kopczyk słodkiego, oleistego mięszu barwy kości słoniowej rośnie w misce z mlecznego szkła. Queenie doprasza się kaska i moja przyjaciółka od czasu do czasu rzuca jej chyłkiem odrobinę, chociaż narzeka, że uszczuplamy nasze zasoby.

- Nie powinniśmy, Buddy. Jeżeli zaczniemy, nie będziemy mogli przestać. A i tak ledwie wystarczy. Na trzydzieści placków.

W kuchni robi się ciemno. Zmierzech przemienia okno w lustro; nasze odbicia mieszają się ze wschodzącym księżycem, gdy pracujemy przy kominku w świetle ognia. Wreszcie, kiedy księżyc jest już całkiem wysoko, rzucamy w żar ostatnią łupinę i łącząc nasze westchnienia, patrzymy, jak ogarnia ją płomień. Wózek jest pusty, miska wypełniona po brzegi.

Zjadamy kolację (sucharki, bekon, dżem jeżynowy) i omawiamy jutrzejszy dzień. Jutro zaczyna się praca, którą lubię najbardziej: zakupy. Wiśnie i cytryny, imbir i wanilia, hawajskie ananasy w puszkach, skórki pomarańczowe, rodzynki, orzechy i whisky, i, och, tyle mąki, masła, tyle jaj, korzeni, przypraw - chyba nam będzie potrzebny kucyk, żeby przyciągnąć wózek do domu.

Jednakże, zanim się porobi te zakupy, wynika problem pieniędzy. Żadne z nas ich nie ma, poza skąpymi sumkami, które wydzielają nam od czasu do czasu osoby zamieszkałe w domu (dziesięć centów uważa się za duże pieniądze), czy tym, co sami zarabiamy na różnych czynnościach – wyprzedazach zbędnych rzeczy, handlowaniu wiaderkami zrywanych przez nas jeżyn, słoikami dżemu, galaretki jabłkowej i brzoskwińowych przetworów domowej roboty, zbieraniu kwiatów na pogrzeby i wesela. Raz zdobyliśmy na konkursie futbolowym siedemdziesiątą dziewiątą nagrodę - pięć dolarów. Nie dlatego, żebyśmy wiedzieli cokolwiek o futbolu. Po prostu bierzemy udział w każdym konkursie, o jakim słyszymy; w tej chwili nasze nadzieje skupiają się na Wielkiej Nagrodzie w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za wymyślenie nazwy dla nowego gatunku kawy (zapropnowaliśmy "A-M.", a po niejakim wahaniu, gdyż moja przyjaciółka uważała, że jest to może świętokradcze, hasło: "A.M.! Amen!"). Prawdę mówiąc, naszą jedyną zyskowną imprezą było Muzeum Uciech i Dziwołagów, które przed dwoma laty prowadziliśmy w drewnutni na tylnym podwórku. Uciechą był fotoplastikon z przezrociami Waszyngtonu i Nowego Jorku, wypożyczony nam przez krewną, która była w tych miastach (rozwścieczyła się, gdy odkryła, po co go pożyczaliśmy). Dziwołagiem zaś trzynogie kurczę, wysiedziane przez jedną z naszych kur. Wszyscy w tych stronach chcieli zobaczyć to kurczę; pobieraliśmy od dorosłych piąta, a od dzieci dwa centy. I zebraliśmy dobre dwadzieścia dolarów, zanim muzeum zostało zamknięte z powodu zgonu głównej atrakcji.

Jednakże takim czy innym sposobem gromadzimy co roku gwiazdkowe oszczędności na Fundusz Placków Owocowych. Pieniądze te trzymamy w starej, wyszywanej paciorkami sakiewce, pod oblużowaną deską w podłodze, gdzie stoi nocnik pod łóżkiem mojej przyjaciółki. Sakiewka rzadko bywa wyjmowana z owego bezpiecznego miejsca - jedynie dla dokonania wkładu albo, tak jak to się dzieje każdej soboty, podjęcia pieniędzy, w soboty bowiem wolno mi wziąć dziesięć centów na kino. Moja przyjaciółka nigdy nie była w kinie i nie ma takiego zamiaru: "Wolę, żebyś mi opowiedział treść, Buddy. W ten sposób mogę to sobie lepiej wyobrazić. Poza tym osoba w moim wieku nie powinna psuć sobie wzroku. Gdy Pan nadejdzie, niech ujrzę Go wyraźnie". Oprócz tego, że nigdy nie oglądała filmu, nie była nigdy w restauracji, nie oddaliła się więcej niż pięć mil od domu, nie otrzymała ani nie wysłała telegramu, nie czytała niczego poza historyjkami obrazkowymi i Biblią, nie używała kosmetyków, nie skłamała rozmyślnie, nie pozwoliła żadnemu psu głodować. A oto kilka rzeczy,

które zrobiła i robi: zabiła motyką największego grzechotnika, jakiego kiedykolwiek widziano w tym okręgu (szesnaście grzechotek), zażywa tabakę (potajemnie), oswaja kolibry (proszę tego spróbować), tak że balansują na jej palcu, opowiada historie o duchach (oboje wierzymy w duchy) tak przejmująco, że człowiekowi robi się zimno w lipcu, mówi do siebie, chodzi na spacer w deszcz, hoduje najładniejsze japońskie pigwy w miasteczku, zna recepty na wszelkie starodawne indiańskie leki, włącznie z czarodziejskim środkiem do usuwania kurzajek.

Teraz, zjadłszy kolację, przechodzimy do pokoju w odległej części domu, gdzie moja przyjaciółka sypia w żelaznym łóżku, przykrytym zszytą z kawałków materiału kołdrą i pomalowanym na różowo, bo to jej ulubiony kolor. Po cichu, nurzając się w rozkoszach konspiracji, wyjmujemy sakiewkę z tajemnego schowka i wysypujemy jej zawartość na kołdrę. Banknoty dolarowe, ciasno zwinięte i zielone jak majowe pączki. Ciemne monety pięćdziesięciocentowe, dość ciężkie, by nimi przycisnąć powieki nieboszczyka. Śliczne dziesiątaki, najżywsze z monet, te, które naprawdę brzęczą. Pięciocentówki i ćwierćdolarówki, starte gładko niczym kamyki w strumieniu. Zeszłego lata inni mieszkańcy domu zobowiązali się płacić nam centa za każde dwadzieścia pięć much, które zabijemy. Ach, ta sierpniowa rzeź, te muchy, co uleciały do nieba! jednakże nie była to praca napawająca nas dumą. I kiedy teraz siedzimy, przeliczając centy, jest to tak, jak gdybyśmy robili zestawienie martwych much. Żadne z nas nie ma głowy do liczb; rachujemy powoli, gubimy się, zaczynamy od nowa. Według obliczeń mojej przyjaciółki mamy 12 dolarów i 73 centy; według moich równo 13. - Mam nadzieję, że się mylisz, Buddy. Nie możemy ryzykować z trzynastką. Placki nam opadną. Albo ktoś się wyniesie na cmentarz. No przecież nawet by mi się nie śniło wstawać trzynastego z łóżka.

To prawda; zawsze spędza w łóżku trzynasty dzień miesiąca. Więc na wszelki wypadek odejmujemy jednego centa i wyrzucamy go przez okno.

Z ingrediencji, które wchodzi w skład placków owocowych, whisky jest najkosztowniejsza, a także najtrudniejsza do uzyskania; prawa stanowe zakazują jej sprzedaży. Jednakże każdy wie, że można kupić butelkę u pana Hahy Jonesa. Toteż nazajutrz, dokończywszy naszych bardziej prozaicznych zakupów, wyruszamy pod adres handlowy pana Hahy, do "grzesznej" (by zacytować opinię publiczną) kawiarni nad rzeką, gdzie można zjeść smażoną rybę i potańczyć. Byliśmy tam już przedtem w tej samej sprawie, ale w poprzednich latach załatwialiśmy sprawę z żoną Hahy, jodynowociemną Indianką o ufarbowanych na miedziane włosach i obejściu osoby

śmiertelnie zmęczonej. W ogóle nigdy nie widzieliśmy na oczy jej męża, choć słyszeliśmy, że też jest Indianinem. Olbrzym z bliznami od brzytwy na policzkach. Nazywają go Haha, ponieważ jest taki ponury i nigdy się nie śmieje. Kiedy zbliżamy się do jego kawiarni (dużej chaty z kłoców, obwieszanej z zewnątrz i w środku girlandami jaskrawo wesołych, gołych żarówek, i stojącej przy błotnistym brzegu rzeki, w cieniu drzew, na których festony hiszpańskiego mchu zwisają między gałęziami niby szara mgła), zwalniamy kroku. Nawet Queenie przestaje hasać i trzyma się blisko nas. W kawiarni Hahy mordowano już ludzi. Krajano ich na kawałki. Walono po głowie. W przyszłym miesiącu ma być rozprawa w sądzie. Naturalnie te rzeczy zdarzają się nocą, gdy kolorowe światła tworzą cudaczne wzory, a gramofon głośno zawodzi. Za dnia u Hahy jest obskurnie i pusto. Pukam do drzwi. Queenie szczeka, moja przyjaciółka woła:

- Pani Haha! Jest ktoś w domu?

Kroki. Drzwi się otwierają. Serce w nas zamiera. To pan Haha Jones we własnej osobie! I rzeczywiście jest olbrzymem, rzeczywiście ma blizny, rzeczywiście się nie uśmiecha. Nie; łypie na nas spoode łba szatańsko kosymi oczami i pyta:

- Czego chcecie od Hahy?

Przez chwilę jesteśmy nazbyt sparaliżowani, by odpowiedzieć. Niebawem moja przyjaciółka na wół odzyskuje głos, co najwyżej głos szeptliwy:

- Proszę pana, chcielibyśmy butelkę pańskiej najlepszej whisky.

Jego oczy stają się bardziej kose. Czy dacie wiarę? Haha się uśmiecha! A nawet śmieje.

- Które z was sobie popija?

- To do placków owocowych, proszę pana. Do pieczenia.

To go otrzeźwia. Marszczy brwi.

- Nie można w taki sposób marnować dobrej whisky.

Mimo to cofa się do mrocznej kawiarni i kilka sekund później ukazuje się z butelką żółtoróżowego płynu, bez nalepki. Pokazuje, jak płyn iskrzy się w słońcu, i mówi:

- Dwa dolary.

Płacimy mu piątakami, dziesiątakami i centami. Nagle, gdy potrząsa monetami w dłoni niczym garścią kości do gry, jego twarz łagodnieje.

- Coś wam powiem - proponuje, zsypując pieniądze z powrotem do naszej sakiewki. - Przyślijcie mi zamiast tego jeden z tych placków owocowych.

- No cóż - mówi moja przyjaciółka, kiedy wracamy do domu. - To miły człowiek. Wsypujemy dodatkową filiżankę rodzynków do jego placaka.

Czarny piec, wypełniony węglem i drewnem, jarzy się jak oświetlona od wewnątrz dynia. Trzepaczki do jajek wirują, łyżki okręcają się w miskach masła i cukru, wanilia wysładza powietrze, imbir dodaje mu pikanterii; kuchnię przesycają roztopiające się, lechące nozdrza wonie, wypełniają dom, wypływają na świat w kłębach dymu z komina. Po czterech dniach nasza praca jest zakończona. Trzydzieści jeden placaków, zwilżonych whisky, leży na parapetach okien i półkach.

Dla kogo są?

Dla przyjaciół. Niekoniecznie przyjaciół z sąsiedztwa; w istocie większa część przeznaczona jest dla osób, które spotkaliśmy może raz, a może wcale. Ludzi, którzy przypadli nam do serca. Jak prezydent Roosevelt. Jak wielebny J.C. Lucey i jego żona, misjonarze baptyści z Borneo, którzy wygłaszali tu pogadanki ubiegłej zimy. Czy mały szlifierz ostrzący noże, który przejeżdża przez miasteczko dwa razy do roku. Albo Abner Packer, kierowca autobusu przychodzącego o szóstej z Mobile, z którym co dzień machamy sobie wzajemnie rękami, kiedy przejeżdża z szumem w chmurze kurzu. Albo młodzi Winstonowie, para z Kalifornii, której samochód zepsuł się pewnego popołudnia przed domem i która spędziła przyjemną godzinę, gawędząc z nami na ganku (młody pan Winston zrobił nam zdjęcie, jedyne, jakie nam kiedykolwiek zrobiono). Czy to dlatego, że moja przyjaciółka jest nieśmiała wobec wszystkich z wyjątkiem obcych i że ci obcy oraz przelotni znajomi wydają nam się najwierniejszymi przyjaciółmi? Myślę, że tak. A przechowywane przez nas albumy z podziękowaniami na papierze listowym Białego Domu, z przychodzącymi czasem wiadomościami z Kalifornii i Borneo, centowymi kartkami pocztowymi od szlifierza również sprawiają, że czujemy się powiązani z bogatymi w wydarzenia światami, leżącymi poza kuchnią i jej widokiem na niebo, które się tam urywa.

Teraz naga, grudniowa gałąź drzewa figowego chrobocze o okno. Kuchnia jest pusta, placaków już nie ma; wczoraj zawieźliśmy ostatnie na pocztę, gdzie koszt znaczków wywrócił na nice naszą sakiewkę. Jesteśmy bankrutami. To mnie dosyć przygnębia, lecz moja przyjaciółka nalega, byśmy to uświęcili - resztkami whisky, pozostałymi w butelce Hahey. Queenie dostaje łyżeczkę w miseczce kawy (lubi kawę przyprawioną cykorią i mocną). Resztę rozlewamy do dwóch słoików po galaretkę. Jesteśmy oboje mocno przejęci perspektywą wypicia czystej whisky; jej smak powoduje skurcz twarzy i kwaśne wzdrygnięcia. Jednak stopniowo zaczynamy

śpiewać jednocześnie, każde inną piosenkę. Nie znam słów mojej, z wyjątkiem: "Przyjdź, ach, przyjdź na bal włóczęgów z mroku miasta". Umiem natomiast tańczyć; tym właśnie zamierzam być - stepującym tancerzem w filmach. Mój tańczący cień miga po ścianach, od naszych głosów drży porcelana, chichoczymy, jakby laskotały nas niewidzialne ręce. Queenie przetacza się na plecy, przebiera łapkami w powietrzu, coś na kształt uśmiechu rozciąga jej czarne wargi. Ja czuję się w środku rozgrzany i roziskrzony jak kruszące się polana, beztroski niczym wiatr w kominie. Moja przyjaciółka tańczy wokół pieca, trzymając w palcach rąbek swej lichej, perkalowej spódnicy, jakby to była suknia balowa. "Wskaż mi drogę do domu - śpiewa, a jej tenisówki skrzypią na podłodze. - Wskaż mi drogę do domu".

Wchodzi dwoje krewnych. Bardzo zagniewanych. Z groźnymi oczami, które łaja, językami, które pieką. Posłuchajcie, co ci ludzie mają do powiedzenia - ich słowa zlewają się w jedną gniewną melodię:

- Siedmioletnie dziecko! Zalatuje od niego whisky! Czyś ty oszalała? Upijać siedmioletniego dzieciaka! Trzeba być wariatką! To droga do zguby! Pamiętasz kuzynkę Kate? Wuja Charliego? Szwagra wuja Charliego? Wstyd! Skandal! Upokorzenie! Klękaj, módl się, przebłagaj Pana!

Queenie zmyka pod piec. Moja przyjaciółka wpatruje się w swoje pantofle, broda jej drga, unosi spódnicę, wyciera nos i biegnie do swego pokoju. Długo po tym, gdy miasteczko usnęło i w domu panuje cisza, dzwonią tylko zegary i trzeszczy dogasający ogień, szlocha w poduszkę, już tak mokrą, jak chustka wdowy.

- Nie płacz - mówię, siadając w nogach jej łóżka i dygocząc mimo mojej flanelowej nocnej koszuli, która pachnie syropem od kaszlu z ubiegłej zimy. - Nie płacz - proszę, gładząc jej palce i laskocząc stopy. - Jesteś na to za stara.

- To właśnie dlatego - krztusi się - że jestem za stara. Stara i śmieszna.

- Nie śmieszna. Pełna uśmiechu. Bardziej niż ktokolwiek. Posłuchaj. Jeżeli nie przestaniesz płakać, będziesz jutro taka zmęczona, że nie zdołamy pójść po choinkę.

Prostuje się. Queenie wskakuje na łóżko (gdzie nie wolno jej wchodzić), by ją polizać w policzki.

- Wiem, gdzie znajdziemy naprawdę ładne drzewka, Buddy. I ostrokrzew także. Z jagodami dużymi jak twoje oczy. To jest daleko w lesie. Dalej niż kiedykolwiek byliśmy. Papa przynosił stamtąd choinki; niósł je na ramieniu. To już pięćdziesiąt lat temu. No, nie mogę doczekać się rana.

Rano. Zmarznięta sadź wybłyszcza trawy; słońce, krągle jak pomarańcza i pomarańczowe jak księżyc podczas upałów, balansuje na horyzoncie, poleruje osrebrzone, zimowe lasy. Słysząc krzyk dzikiego indyka. W podszyciu chrumka wieprzek-renegat. Wkrótce, na skraju głębokiej po kolana, wartko płynącej wody, musimy pozostawić wózek. Queenie pierwsza wchodzi do strumienia, przepływa przezeń, wyszczekując narzekania na szybkość prądu, na jego zimno grożące zapaleniem płuc. Podążamy za nią, trzymając nad głową nasze obuwie i przybory (siekiere i płócienne worki). Jeszcze mila dokuczliwych cierni, kolczastych roślin i głogów, które czepiają się naszego odzienia, i rdzawych igieł sosnowych, ubarwionych jaskrawą grzybnią i zrzuconymi piórkami. Tu, tam mignięcie, trzepot, ekstaza przenikliwego świstu przypominają nam, że nie wszystkie ptaki odleciały na południe. Ścieżka wciąż wije się przez cytrynowe kałuże słońca i czarne jak smoła tunele pnączy. Następny strumień do przejścia; zaniepokojona armada nakrapianych pstrągów pieni dookoła nas wodę, żaby wielkości talerzy ćwiczą skoki na brzuch, bobrowi robotnicy budują tamę. Na drugim brzegu Queenie otrząsa się i dygocze. Moja przyjaciółka też drży, nie z zimna, lecz z entuzjazmu. Kiedy podnosi głowę i wdycha przesycone sośniną powietrze, jedna z wystrzępionych róż na jej kapeluszu roni płatek.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Czujesz ten zapach, Buddy? - pyta moja przyjaciółka, tak jak gdybyśmy zblizali się do oceanu.

I rzeczywiście jest to rodzaj oceanu. Wonne połączenie gwiazdowych choinek, ostrokrzewy o kłujących liściach. Czerwone jagody błyszczą jak chińskie dzwoneczki, czarne wrony spadają na nie z wrzaskiem. Napchawszy nasze płócienne worki dostateczną ilością zieleni i szkarłatu, by ubrać girlandami tuzin okien, przystępujemy do wybierania drzewka.

- Powinno być - zastanawia się moja przyjaciółka - dwa razy wyższe od chłopca. Tak żeby chłopak nie mógł skraść gwiazdy z czubka.

To, które wybieramy, jest dwa razy wyższe ode mnie. Dzielna, ładna bestia, która wytrzymuje trzydzieści uderzeń toporka, nim się obali ze skrzypliwym, rozdzierającym krzykiem. Wlokąc ją jak ubitą zwierzyne, rozpoczynamy długą wędrówkę powrotną. Co kilka kroków przerywamy zmagania, siadamy i dyszymy. Jednakże mamy siłę tryumfujących myśliwców; ta siła wraz z męską, lodową wonią drzewka ożywia nas, popędza naprzód.

Liczne komplementy towarzyszą naszemu powrotowi o zachodzie do miasteczka czerwoną, gliniastą drogą, lecz moja przyjaciółka jest chytra i

powściągliwa, kiedy przechodnie wychwalają skarb złożony na naszym wózku: cóż to za śliczne drzewko i skąd pochodzi?

- A, stamtąd - mruczy mgliście. Raz przystaje samochód, wychyla się z niego gnuśna żona bogatego młynarza i popiskuje:

- Dam wam ćwierć dolara gotówką za toto drzewko.

Zazwyczaj moja przyjaciółka obawia się powiedzieć "nie", ale tym razem od razu kręci głową:

- Nie wzięlibyśmy nawet dolara.

Żona właściciela młyna nalega:

- Dolara, a ucho! Pięćdziesiąt centów. To moje ostatnie słowo. Ojej, kobieto, przecież możesz sobie znaleźć drugie takie.

W odpowiedzi moja przyjaciółka łagodnie wygłasza refleksję:

- Wątpię. Nigdy nie ma nic podwójnego.

W domu Queenie układa się przy ogniu i śpi do jutra, chrapiąc głośno jak człowiek.

Kufer na strychu zawiera: pudełko od butów pełne gronostajowych ogonków (z wieczorowej peleryny pewnej dziwnej pani, która niegdyś odnajmowała pokój w domu), zwoje wystrzępionego szychu, uzłoconego przez starość, jedną srebrną gwiazdę, krótki sznur podniszczonych, niewątpliwie niebezpiecznych, przypominających cukierki żarówek choinkowych. Jest to przystrojenie znakomite, ale niewystarczające; moja przyjaciółka pragnie, by nasza choinka gorzała "jak baptystyczne okno" i uginała się pod ciężką okiścią ozdób. Jednakże nie możemy sobie pozwolić na wyrabiane w Japonii splendory z domu towarowego. Czynimy więc to, co czyniliśmy zawsze; całymi dniami przesiadujemy przy kuchennym stole, z nożyczkami, kredkami i stertami kolorowego papieru. Ja robię rysunki, a moja przyjaciółka je wycina; mnóstwo kotów, ryb też (bo są łatwe do rysowania), trochę jabłek, trochę arbuźów, kilka skrzydlatych aniołków, sporządzonych z przechowanych arkusików cynfolii od tabliczek czekolady. Dzieła te zawieszamy na choince za pomocą agrafek; na zakończenie obsypujemy gałązki strzępkami bawełny (uzbieranej na ten cel w sierpniu). Moja przyjaciółka, oglądając końcowy efekt, składa dłonie.

- No, naprawdę, Buddy. Takie ładne, że można to zjeść, no nie?

Queenie usiłuje zjeść aniołka.

Po upleceniu i przywiązaniu wstążkami wieńców z ostrokrzewu do wszystkich frontowych okien, naszym następnym zadaniem jest przygotowanie podarków dla rodziny. Ręcznie malowane chustki dla pań, a dla mężczyzn syrop domowej roboty z cytryny, lukrecji i aspiryny do zażywania "przy pierwszych objawach przeziębienia oraz po polowaniu". Jednakże kiedy przychodzi pora przygotowania prezentów dla siebie nawzajem, moja przyjaciółka i ja rozdzielamy się, aby pracować w tajemnicy. Chciałbym jej kupić nóż z rączką z masy perłowej, radio, cały funt wiśni w czekoladzie (kiedyś ich spróbowaliśmy i moja przyjaciółka zawsze się zaklina: "Mogłabym się nimi żywić, Buddy, Bóg świadkiem - a nie jest to używaniem Jego imienia nadaremno"). Zamiast tego robię dla niej latawiec. Ona chciałaby podarować mi rower (mówiła to milion razy: "Gdybym tylko mogła, Buddy. Jest dostatecznie źle obchodzić się w życiu bez czegoś, czego pragniemy dla siebie, ale, niech to licho, najbardziej mnie złości, kiedy nie można dać komuś tego, co chciałoby mu się ofiarować. Ale któregoś dnia zrobię to, Buddy. Znajdę ci rower. Nie pytaj jak. Może ukradnę"). Zamiast tego, jestem prawie pewien, robi mi latawiec - tak jak zeszłego roku i poprzedniego; rok przedtem wymieniliśmy proce. Bardzo mi to dogadza. Oboje bowiem jesteśmy mistrzami w puszczeniu latawców, które badają wiatr niczym żeglarze; moja przyjaciółka, wytrawniejsza w tej sztuce ode mnie, potrafi wypuścić w górę latawiec, kiedy nie ma nawet tyle powiewu, by ponieść obłoki.

W wigilijne popołudnie wydłubujemy łącznie pięć centów i idziemy do rzeźnika kupić Queenie tradycyjny podarek, dobrą, ogryzalną kość wołową. Kość ta, zawinięta w kolorowy papier, zostaje umieszczona wysoko na choince, przy srebrnej gwiazdce. Queenie wie, że tam jest. Przycupnąwszy u stóp drzewka, spogląda do góry w transie łakomstwa; kiedy przychodzi pora spoczynku, nie chce się ruszyć z miejsca. Jej podnieceniu dorównuje moje własne. Skopuję kołdrę i przewracam poduszkę, tak jakby to była upalna letnia noc. Gdzieś pieje kogut - fałszywie, bo słońce jest jeszcze po drugiej stronie świata.

- Buddy, nie śpisz? - To moja przyjaciółka woła ze swego pokoju, który jest obok, i w chwilę później siedzi na moim łóżku ze świecą w rękę. - Nie mogę zmrużyć oka - oświadcza. - Myśli mi skaczą jak króliki. Buddy, czy sądzisz, że pani Roosevelt poda nasz placek do kolacji? - Kulimy się w łóżku, a ona czule ścisną moją dłoń. - Chyba twoja rączka była dawniej o wiele mniejsza. Widocznie przykro mi patrzeć, jak rośniesz. Czy kiedy dorośniesz, będziemy nadal przyjaciółmi?

Mówię, że zawsze.

- Ale mnie jest tak przykro, Buddy. Tak bardzo chciałam dać ci rower. Próbowałam sprzedać tę kameę, którą mi dał papa. Buddy... - waha się, jakby zakłopotana. - Zrobiłam ci jeszcze jeden latawiec.

Wtedy wyznaję, że i ja go dla niej zrobiłem, i śmiejemy się. Świeczka wypaliła się tak, że trudno utrzymać ją w ręku. Gaśnie, ujawniając poświatę gwiazd, a gwiazdy tańczą za oknem niby widzialna, radosna pieśń, którą powoli, powoli ucisza brzask. Być może zdrzemnęliśmy się, ale początki świtu spryskują nas jak zimną wodą; wstajemy z szeroko otwartymi oczami i chodzimy, czekając, aż inni się pobudzą. Całkiem rozmyślnie moja przyjaciółka upuszcza kociołek na kuchenną podłogę. Ja tańczę, stepując pod zamkniętymi drzwiami. Jeden po drugim wynurzają się domownicy z takimi minami, jakby chcieli nas zamordować; ale jest Boże Narodzenie, więc nie mogą. Najpierw przepyszne śniadanie, po prostu wszystko, co tylko można sobie wyobrazić - od placuszków i pieczonych wiewiórek aż po mieloną mamałygę i miód w plastrach. Co wprawia wszystkich w dobry humor, z wyjątkiem mojej przyjaciółki i mnie. Szczerze mówiąc, tak nam pilno dobrać się do prezentów, że nie możemy nic wziąć do ust.

Ano, i jestem zawiedziony. Kto by nie był? Skarpetki, koszula do szkolki niedzielnej, kilka chusteczek, używany sweter i roczny abonament na religijny magazyn dla dzieci. "Mały Pasterz". Cały aż się gotuję. Naprawdę.

Moja przyjaciółka ma bardziej udany połów. Torba mandarynek to jej najlepszy prezent. Jednakże najbardziej dumna jest z białego, wełnianego szala, udzierganego przez jej zamężną siostrę. Mówi natomiast, że najmilszym dla niej prezentem jest latawiec, który jej zrobiłem. I rzeczywiście jest bardzo piękny, choć nie tak piękny jak ten, który zrobiła mi ona; niebieski i nakrapiany złotymi i zielonymi gwiazdkami "za dobre sprawowanie"; co więcej, jest na nim wymalowane moje imię, "Buddy".

- Buddy, wiatr wieje.

Wiatr wieje i nic nas nie zadowoli, dopóki nie pobiegniemy na pastwisko poniżej domu, gdzie Queenie popędziła zagrzebać swoją kość (i gdzie następnej zimy sama też będzie pogrzebana). Tam, przedzierając się przez jędrną, po pas sięgającą trawę, odwijamy nasze latawce, czujemy, jak szarpią za sznurki, płynąc na wietrze niczym niebiańskie ryby. Zadowoleni, rozgrzani słońcem, wyciągamy się w trawie, obieramy mandarynki i patrzymy, jak hasają nasze latawce. Wkrótce zapomina o

skarpetkach i używanym swetrze. Jestem taki szczęśliwy, jak gdybyśmy już wygrali pięćdziesięciotysięczną nagrodę w tym konkursie na nazwę kawy.

- Oj, jaka jestem niemądra! - woła moja przyjaciółka, nagle się ocknąwszy, niczym kobieta, która przypomniała sobie za późno, że ma ciastka w piecu. - Wiesz, co zawsze myślałam? - pyta tonem odkrywcy, uśmiechając się nie do mnie, ale do jakiegoś punktu poza mną. - Zawsze myślałam, że człowiek musi być chory i konający, zanim ujrzy Pana. I wyobrażałam sobie, że kiedy On przyjdzie, będzie to jak patrzenie na baptystyczne okno -piękne jak kolorowe szkło, przez które wlewa się słońce z takim blaskiem, iż nie wiesz, że już się ściemnia. I to było pokrzepiające - myśleć o tym blasku, które odejmuje wszelkie uczucie lęku. Ale założę się, że nigdy tak się nie dzieje. Założę się, iż na samym końcu człowiek uświadamia sobie, że Pan już się pokazał. Że te rzeczy, takie, jakie są - tu jej ręka zakreśla koło gestem obejmującym obłoki i latawce, i trawy, i Queenie zagrzebującą swą kość - zawsze były widzeniem Jego. Co do mnie, to mogłabym zejść z tego świata, mając w oczach dzisiejszy dzień.

To jest nasze ostatnie wspólne Boże Narodzenie.

Życie nas rozdziela. Ci, Którzy Wiedzą Najlepiej, decydują, że moje miejsce jest w szkole wojskowej. Następuje więc żalosne pasmo rozdźwięczonych trąbkami więzień, ponurych, dręczących pobudką obozów letnich. Mam także nowy dom. Ale on się nie liczy. Dom jest tam, gdzie moja przyjaciółka, a ja tam nigdy nie bywam.

Ona zaś w nim pozostaje, drepcząc po kuchni. Sam na sam z Queenie. Potem sama. ("Kochany Buddy - pisze swoim niesfornym, trudnym do odczytania pismem. - Wczoraj koń Jima Macy'ego okropnie kopnął Queenie. Bogu dzięki, niewiele czuła. Zawinęłam ją w prześcieradło z cienkiego płótna i zawiozłam wózkiem na pastwisko Simpsona, gdzie może być ze wszystkimi swoimi kośćmi..."). Przez parę lat nadal w listopadzie piecze sama jedna swe owocowe placki; nie tyle co dawniej, ale trochę, i oczywiście zawsze przysyła mi "najlepszy ze wszystkich". A także do każdego listu dołącza dziesięciocentówkę zawiniętą w papier toaletowy: "Idź na jakiś film i napisz mi treść". Jednakże stopniowo w swych listach zaczyna mieszać mnie z drugim swym przyjacielem, tamtym Buddym, który umarł w latach osiemdziesiątych; coraz częściej i częściej trzynasty już nie jest jedynym dniem, kiedy pozostaje w łóżku, aż przychodzi listopadowy poranek, bezlistny, bezptasi poranek zimowy, gdy już nie może wstać, aby wykrzyknąć: "Ojej, pogoda na placki owocowe!".

I kiedy to się staje, wiem o tym. Zawiadomienie tylko potwierdza jakąś sekretną świadomość, odcinając ode mnie niemożliwą do zastąpienia cząstkę mnie

samego, puszczając ją luzem, niczym latawiec z urwanym sznurkiem. Dlatego też idąc przez teren szkolny owego grudniowego poranka, wciąż przepatruję niebo. Tak jakbym spodziewał się ujrzeć, niby dwa serca, zagubioną parę latawców śpieszących ku niebu.